

Joanna Chmielewska



Byczki w pomidorach

Joanna
Chmielewska

Byczki w pomidorach

Redakcja: *Jan Koźbiel*
Korekta: *Ewa Kłosiewicz*
Projekt okładki: *Sophie Kuhn*
Zdjęcie autorki: *Witold Gawliński*

© Copyright by Wydawnictwo Klin, Warszawa 2010

ISBN 978-83-62136-03-2

Wydanie I
Wydawnictwo Klin
Warszawa, ul. Bruzdowa 117H
tel. +48 501 686 786
fax +48-22-885-19-53
e-mail: m.g.klin@op.pl
www.wydawnictwoklin.pl

Alicja wyszła nagle na taras z jakąś kartką w ręku.

Któryś kolejny raz w życiu paliłam w jej ogrodzie suche gałęzie i liście. Spojrzałam na nią i doznałam okropnego uczucia *déjà vu*. Widły, którymi podgarniałam paliwo, znieruchomiały mi w ręku.

Rany boskie, już tak kiedyś było! Nie tak znów dawno, parę lat temu zaledwie, kiedy po jej domu i okolicy poniewierały się te czerwone trupy... no, nie wszystko trupy i nie tak całkiem czerwone... a, ganc pomada... też wyszła na taras z identyczną kartką w ręku, w dodatku również paliłam ognisko, i zapytała mnie... zaraz... o ciumcianie...

– Słuchaj – powiedziała teraz z irytacją, zatrzymując się na skraju tarasu. – Czy to jest jakaś klątwa? Czy ja już nigdy w życiu nie znajdę całego listu, tylko zawsze środek bez początku i końca?

Przeraziła mnie myśl, że *déjà vu* się pogłębia i że nade mną też wisi klątwa, a już zamigotała mi nadzieja, bo tym razem miałam w ręku widły, poprzednio zaś jakiś przypadkowy drąg, tymczasem chała, nadzieja uciekła z krzykiem. Spróbowałam zastanowić się, wsparta na widłach, zapomniałam, że mają za krótki trzonek i tylko cudem zdołałam nie wpaść łbem do ogniska, identycz-

nie jak poprzednio, chociaż teraz właściwie już mogłam wpadać, bo nie miałam na głowie peruki, więc strata finansowa żadna. Pewnie dlatego nie wpadłam.

Wsparłam się na widłach inaczej.

– Pojedynczo znalazłaś? Jedną sztukę? Też kretyńskiej treści?

– Nie wiem. Chyba też, ale inaczej. Bez ćlamanych brzuszków. To rosochate z prawej strony jeszcze zostawiłaś.

– Nie zostawiłam, tylko mam je na deser.

– A nie wolisz na deser sałatki z kartofli? Albo tej twojej ukochanej ryby?

– Kupiłaś rybę? – ucieszyłam się. – Czekał, idę do tej lektury, tylko tu dołożę.

Alicja mnie nie poganiała. Spojrzała na starą jabłoń, którą miała przed nosem, kartkę odłożyła na stół ogrodowy i zaczęła oglądać w skupieniu kawałek odstającej kory na grubym konarze. Jabłoń była starsza niż dom i przyczyniała ustawicznej troski, nie cierpiałam jej, bo bez przerwy siała różnymi paprochami, gałęzie robiły wrażenie, że trzymają się tylko na słowo honoru, a w dodatku co roku w obfitości leciały z niej jabłka do niczego. Niejadalne. Nadawały się tylko na kompot i może jakieś przetwory, szybko gnily i musiałam je zbierać. No nie, nie musiałam, zbierałam wyłącznie z elementarnej przyzwoitości, niechętnie, niedbale i raczej niezbyt skrupulatnie. Nie cierpiałam tego zajęcia jeszcze bardziej niż jabłoni.

Wybrałam stosowne kawałki do podtrzymania ognia, omijając, rzecz jasna, deserowe rosochate, dorzuciłam, podgarnęłam, wbiłam widły w ziemię i ruszyłam ku tarasowi.

Nie miałam daleko, wszystkiego raptem z piętnaście metrów, nie paliłam przecież ogniska w zbitym gąszczu pod nosem sąsiada, a tym bardziej w zwartym kołtunie pokrzyw, musiałam mieć trochę luzu nad głową, żeby nie puścić z dymem całej miejscowości. Mimo niewielkiej odległości jednakże zdążyły przelecieć po mnie skojarzenia tak liczne i osobliwe, że mnie samą niemal wprawiły w podziw. Nie usiłowałam ich rozplątywać, chociaż w gruncie rzeczy tym razem przyjechałam do Birkerød z nadzieją uporządkowania właśnie skomplikowanych węzłów uczuciowych. Przydałby mi się Aleksander Macedoński, ale mogła go zastąpić Alicja, nawet bez miecza.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że ostatnio zaczynam chodzić z moim mężem – powiadomiłam ją, sięgając po papierosa.

– Ona chyba jednak ma te takie – odparła z troską.
– Nie pamiętam nazwy, muszę sprawdzić. Nie korniki. Nie rozumiem, co powiedziałaś.

– Powiedziałam, że chodzę z moim mężem – powtórzyłam uprzejmie i usiadłam na fotelu ogrodowym półgębkiem.

I natychmiast uświadomiłam sobie, że wcale nie półgębkiem, nic z tych rzeczy. Półgębkiem oznacza w zasadzie, omijając generalnie istnienie gęby jako takiej, że siada się połową tyłka, jakby bokiem. A tu nic podobnego, o żadnych asymetriach mowy nie ma, połową, tak, ale równo, bez wykrzywiania. To jak? Półtyłkiem? Do bani. Półpośladkiem? Ciągle to samo, siadalny fragment anatomii jest wykonany poniekąd równo, przynajmniej od strony zewnętrznej, półgębkiem siadał dziewiętnastowieczny amant i jeszcze mu jedno kolano nad samą

podłogą zwisało, natomiast, o...! Student! Ubogi student, korepetytor, potraktowany grzecznie, ośmielał się usiąść na skraju fotela, prawie na kości ogonowej. I to było to!

No i proszę. Obyczaje się zmieniły, a język za nimi nie nadążył.

Alicji fotele, niestety, wymagały albo półgębka z kością ogonową, albo pozycji półleżącej, dla mnie nieznośnej, i już sama nie wiedziałam, co gorsze. Wybrałam jednak półgębek, ograniczając niewygodę na ile się dało.

Alicja naderwała większy kawałek odstającej kory z bogatym życiem wewnętrznym.

– Nadal nie rozumiem. Powiedziałaś, że chodzisz ze swoim mężem. W jakim sensie? Do pracy? Na te, jak im tam, marsze jesienne?

– Zwariowałaś. W zwyczajnym sensie, tak, jak to się mówiło, że o, ona z nim chodzi. Albo ten kretyń chodzi z twoją siostrą. Albo twoja sekretarka chodzi z tym pantem, który cię kantuje.

Alicja oglądała korę w takim skupieniu, że aż zdjęła okulary.

– Dwa rodzaje widzę, jedno białe, a drugie takie brązowawe. Chyba będę musiała znaleźć lupę. To ostatnie rozumiem, mam wrażenie, najlepiej, z tym, że chodzenie oznaczało zazwyczaj po prostu sypianie ze sobą. Sypiasz ze swoim mężem?

– Gdyby nie fakt, że od dziewięciu lat jesteśmy rozwiedzeni, nie byłoby w tym w końcu nic dziwnego. Ale nie, nie sypiam. Natomiast możliwe jest, że wyjdziemy za mąż.

Siedziałam spokojnie na tym swoim półogoniu, paliłam papierosa, fotel był stabilny, nie groziło mi żadne

zachwianie równowagi. Alicja jednakże stała na kawałku małego krawężnika, nieco ruchliwego, jedną ręką trzymała się grubej gałęzi, a drugą przytykała do twarzy naderwaną korę. Zazwyczaj była zręczna, rozmaite ćwiczenia akrobatyczne stanowiły dla niej małe piwo, ale tu czegoś nagromadziło się zbyt wiele. Szarpnięciem do reszty urwała oglądaną korę i kropnęła do tyłu, na szczęście wprost na przeciwległy fotel, trochę skosem stojący i możliwe, że usiadło jej się na nim nieco zbyt głęboko. Ale poduszka tam leżała. Dziwne. Podłożyła ją chyba ręka opatrności, bo poduszki na ogrodowych fotelach pojawiały się rzadko.

– Wstrząsnęłaś mną – rzekła z wyrzutem. – Znów nie rozumiem, co mówisz.

– Odreaguj – poradziłam. – Zrób cokolwiek przyjemnego i pomyśl o czym innym. Jak chcesz, mogę ci przynieść kawy.

– Chcę.

Kiedy wróciłam z kuchni z kawą dla Alicji i piwem dla siebie, oderwany kawał kory leżał na stole wklęsłą stroną do dołu i wypukłą do góry, obok tajemniczego listu bez początku i końca, Alicja zaś, Bóg wie, który raz, ustawiała do pionu poprzewracane ostatnim wiatrem fuksje. Udało jej się ustawić dwie. Odwróciłam korę górą do dołu, czy tam odwrotnie, bo wizja robaczek zasiedlających teraz stół nie obudziła we mnie entuzjazmu.

Alicja poczuła woń kawy i dała spokój przyrodzie.

– Mimo całej inteligencji, do jakiej się poczuwam, wołałabym jednak, żebyś mi to wyjaśniła przystępniej. Ty wyjdiesz za męża, dziwić się mogę, ale rozumiem. Ale jakim cudem wyjdzie za męża twój mąż? On chyba jest mężczyzną?

– Wnioskując z dwojga dzieci, nadzwyczajnie do niego podobnych, raczej tak.

– To jak?

– Co jak?

– Jak może wyjść za mąż? Jako pederasta?

– Jaki znowu pederasta, on się brzydzi... A...! Rozumiem, to moja wina. Treść się poniekąd zgadza, tylko forma mi umknęła. Miałam na myśli, że zawrzemy kolejny związek małżeński.

– Kolejny, to znaczy który?

– Trzeci. To znaczy... zaraz, bo nie wiem, o co pytasz, o niego, czy o mnie? Dla niego byłby to czwarty, ale dla mnie trzeci.

– Jakoś dziwnie nieregularnie wam to wychodzi – skrytykowała Alicja z niesmakiem po chwili namysłu.

– Należało uszanować symetrię. A w ogóle to lęgnie mi się problemik i zamierzam go z tobą przedyskutować.

Siedziała już w tym fotelu z poduszką i w skupieniu oglądała kawałek jakiegoś patyczka. Problemik zaciekał mnie od razu, bo coś w nim zadźwięczało, ale tknięta przeczuciem, spojrzałam w głąb ogrodu i wystrzeliłam ze swojego miejsca.

Nie było potrzeby tak się śpieszyć, nawet gdyby mi to cholerne ognisko zgasło, rozpałabym je na nowo w dwie minuty, piromańskie geny lecą w mojej rodzinie przez pokolenia. Ale ogólnie już mi się opał kończył, reszta rosła na wale i należało ją wycinać, potem powinna trochę przeschnąć, nie chciało mi się teraz, rozmowa z Alicją zniecka nabrała rumieńców, postanowiłam zakończyć ognistą zabawę. Z czułością wrzuciłam na resztki rosochaty deser i ponownie wbiłam widły w ziemię. Następnie wyciągnęłam je i na bazie znajomości

życia zdecydowałam się od razu zanieść narzędzie do składziku. Nie takie rzeczy już w tym domu ginęły.

– Zaraz świnię będą gryzły – westchnęła Alicja z gorączką, kiedy umyłam ręce i wyjrzałam na tarasik. – Ja wracam do domu, a ty jak uważasz.

– Do własnego domu mam niezły kawałek drogi, więc pozwolisz, że wrócę do twojego? Zabierzmy rzeczy do salonu.

Gryzące świnię nie zdziwiły mnie wcale, odgadłam, że to wdzięczne miano zyskały aktualnie komary, lżone rozmaitymi inwektywami. Zasługiwały na nie w pełni, ponieważ obdarzały panią włości wyjątkowym zainteresowaniem.

Oprócz przedmiotów normalnych Alicja zabrała do domu także ową korę z jabłoni i położyła ją na wolnym końcu stołu. Zwróciłam jej delikatnie uwagę, że w razie gdyby robaczki wyleciały, od tekowego drewna trudno je będzie odróżnić, szczególnie te brązowawe, zgodziła się zatem podłożyć pod spód żółtą papierową serwetkę. Doznałam ukojenia.

Posiłek nie przeszkadzał w rozmowie, kora też nie. Zrozumiałam, nieco mgliście, ale jednak, drogę moich skojarzeń i uznałam, że wystartowały przy wybrakowanym liście. Powinno się go załatwić najszybciej i bezproblemowo.

– Nie pamiętasz przypadkiem, które kawałki znalazłaś przy Bobusiu? – spytałam, siadając przy stole. – Koniec był, to wiem, ale czego brakowało? Początku czy środka?

– Gdyby był początek, od razu wiedziałybyśmy, do kogo. Zdawało mi się, że miałaś jeść rybę. Widzę przed tobą pusty talerz. Czy do tego stopnia wzrok mi się zepsuł?

– Nie obiecywałam, że będę jadła zamrożoną i na surowo, leży na patelni i masz ją za plecami. Powinnaś czuć wężchem.

Alicja obejrzała się, kropiąc dressingiem trochę obok sałaty.

– A, możliwe...

– Ponadto początek o niczym nie świadczy – ciągnęłam. – Dużo ci przyjdzie z czegoś takiego, jak na przykład Najdroższe Moje Kochanie. Albo: Pączusiątko jedyne. Albo: Zwierzaczku dziki, ukochany. Albo: Płomieniu Serca mego. Albo...

– Zwariowałaś?

– Nie, podaję ci przykłady. Płec z tego nie do odgadnięcia, nie wspominając o personaliach.

– Skąd ci się to bierze? Jakies wirusy latają u mnie w ogrodzie? Może już nie pal tego ognia...

– To nie z ognia, to z życia. Jeszcze gorsze kretyństwa ludzie do siebie pisują, a jeśli tam było na przykład Brzusiątko moje, nawet byś się nie zdziwiła dalszym ciągiem. Ponadto autora odgadłyśmy dopiero przy ostatniej stronie, Kika była podpisana.

– No może... Wszystko jedno, czyje to brzusiątko, dobrze, że ja od byle czego nie tracę apetytu. Zdaje się, że teraz czuję twoją rybę. No więc dobrze, początku nie wykluczam, chociaż wydaje mi się, że takie dzikie, zwierzęce pączusie bym zapamiętała. Ale środek jednak jest inny, do ćlamań... nie... co to było...? A, do ciumciań nie pasuje.

– W takim razie możliwe, że znalazłaś teraz jakiś inny środek – zaopiniowałam, siadając znów przy stole po przewróceniu ryby. – Zaraz ją zjem i będzie z głowy, denerwuje mnie to pilnowanie patelni. Ale teraz

tak myślę... Czy ja cię przypadkiem wtedy nie oszukałam...

– W jakim sensie? – zainteresowała się gwałtownie Alicja i obejrzała pustą filiżaneczkę po kawie.

– Siebie też... Bo wcale nie jest niemożliwe, że mógłby do mnie pisywać kretyn...

Po dłuższej chwili milczenia Alicja dokonała odkrycia.

– Myślę, że w każdym wypadku zauważyłabyś obecność kretyna obok siebie?

– Nie. Zakochawszy się, nie od razu.

– Ale obecny przy boku kretyn, taki fizycznie obecny, chyba nie pisuje?

– Zależy od rozmiaru kretynstwa. Gdyby jednak pisywał, zauważyłabym szybciej. Tylko że ja niczego nie wyrzucam, więc te poetyczne wypociny gdzieś by mi się poniewierały, a na nic takiego jakoś nie trafiłam. Ale mimo wszystko sformułowanie jako takie czymś niesympatycznym w duszy mi pika.

Alicja ponownie zajrzała do pustej filiżaneczki, nie można było zaglądać bardziej, i uczyniła początek gestu podnoszenia się z krzesła. Nie, nie początek. Załedwie zaranie. W tym samym momencie ryba powiedziała, że doszła.

Zerwałam się z wielką energią.

– Siedź, prztyknę wodą, cztery minuty wytrzymasz. Sobie herbatę też.

– Przecież pijesz piwo... Ja ci, broń Boże, nie wymawiam!

– Jedno drugiemu nie przeszkadza, wiem, że nie wymawiasz. O, już szumi.

– Nie słyszę, twoja ryba pryska.

– Tu nie koncert. Za chwilę zobaczysz. Czy możemy wrócić do tematu, bo chciałabym się go pozbyć?

– A co jest tematem?

Zrobiłam wszystko równocześnie, bo byłam głodna. Wyrzuciłam rybę na talerz, wetknęłam patelnię pod kran, czajnik przytknął, nalałam Alicji wody do nowej filiżaneczki, nalałam sobie herbaty, usiadłam wreszcie przy stole i już byłam gotowa do dalszego ciągu dyskusji. Wiedziałam nawet, co chcę powiedzieć.

– Tematem, dla mnie zasadniczym, jest kretyń od symbolicznego ciumciania i zwracam ci uwagę, że zdobywam się w tej chwili na bohaterski ekshibicjonizm ekspiacyjny.

– Nie za bardzo skomplikowane, jak na jedną osobę? – wyraziła lekkie powątpiewanie Alicja, złagodniała pod wpływem kawy przed nosem. Rozpuszczalną kawę, rzecz oczywista, miała zawsze pod ręką, na półeczce, razem z nią zaś łyżeczkę i nawet cukier.

– Trudno, żebym się podzieliła na kilka sztuk dla przyjemności idioty. Przyjmij, że mam dużą pojemność.

– Może być. Przyjmuję.

– Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Uparłam się wtedy, że ciumcianie to nie ja, i może nawet miałam rację, a co najmniej uzasadnienie...

Alicja zaczynała słuchać z wyraźnym zainteresowaniem.

– O ile sobie przypominam... – zaczęła z namysłem.

– Czekaaj, sprawdzę w kalendarzyku...

Sięgnęła na półeczkę po kalendarzyk, również zagnieżdżony tam na stałe.

– Nie musisz. Przypomnę ci bez trudu. Spóźniłam się z przyjazdem do ciebie i nadziałam się na te wszyst-

kie trupy tylko dlatego, że się zakochałam, to znaczy, tak mi się wydawało, i nie powiedziałam ci, kim on jest, ten mój blondyn życia. To znaczy, miałam nadzieję, że to jest właśnie mój blondyn życia.

– Zgadza się – przyświadczyła bezlitośnie Alicja, kartkująca mimo wszystko kalendarzyk. – Nie truj mi nadzieję, byłaś pewna.

– Z litości mogłabyś nie wypominać...

– W tej akurat dziedzinie, jak wiesz, nie mam litości...

I nagle jakby się potknęła. Zawahała. Było to tak niezwykłe, że na moment zapomniałam o sobie i zagapiłam się na nią, jakby znienacka zaczęły wyrastać jej na przykład skrzydła.

Wróciła do równowagi w mgnieniu oka.

– Byłaś pewna. Bardzo dobrze...

– Jak komu...

– I co?

– I przeleciały cztery latka. Prawie pięć. I jeśli rzeczywiście w tamtym czasie pewność rąbnęła mnie w ciemię...

– Rąbnęła – potwierdziła ta nieubłagana zołza twardo.

– Dobrze, że tę rybę z łakomstwa zdążyłam prawie całkiem pożreć, bo teraz stanęłaby mi kością w gardle. Ale masz rację, co ja poradzę.

– Ja zazwyczaj mam rację...

– Żebyś pękła!

– Nie chce mi się teraz. I co dalej? Bo mam wrażenie, że jesteśmy dopiero w połowie i jeśli opierasz się na skojarzeniach, całkiem nieźle ci idzie. Poza wszystkim, rozumiem, że zmierzamy do twojego męża?

Pomyślałam, że właściwie mogłybyśmy rozmawiać oszczędnie, z każdego zdania wypowiadając tylko jedno słowo. Alicja łapała myśl, zanim jeszcze została ściśle

sformułowana. Przyjrzałam się resztkom ryby na talerzu i po krótkim wahaniu zjadłam ją do końca. Nie będą mi jeszcze własne głupoty marnować takiej świetnej ryby!

– No więc właśnie. Owszem, połowę zalet posiada. Ale jak mi zaczęło nie grać od początku... w ówczesnej korespondencji sensacyjna treść wychodziła na prowadzenie... wmawiałam w siebie, że się myślę, ślepiłam i głuchłam... chora krowa.

Alicja podniosła się od stołu z jakąś wyjątkową stanowczością.

– Znam życie – oznajmiła krótko i udała się w dalsze rejony salonu. Wróciła z wielką flachą koniaku, ledwie napoczętą, i dwoma kieliszkami. – Chory ssak powinien dostać lekarstwo. Krowa to ssak, ty również.

– Mam nadzieję, że też się poczuwasz...?

– A co, uważasz, że nie tknę tego rémy martin? Do takiego altruizmu jeszcze nie dorosłam.

– Piwo i koniak, mieszanina piorunująca. Wobec tego na razie odstawiam piwo. Otóż, żeby skrócić, prawie od początku zaczęłam się zastanawiać, z kim on, na litość boską, miał do czynienia, chodzi mi o poziom intelektu. Spytałam go kiedyś, ile ciężaru traci drewno po wysuszeniu, w porównaniu ze świeżym...

– A skąd on mógł to wiedzieć?

– Twierdził, że o drewnie wie wszystko, miał z nim do czynienia. Zaczął mnie informować o istnieniu tabliczki mnożenia, więc przerwałam mu i przypomniałam, że chodziłam kiedyś do szkoły. Z lekkim wysiłkiem przeskoczył wielki stopień szkolenia i powiadomił mnie, że świeże drewno ma soki...

– Wiśniowy, truskawkowy, pomarańczowy... – wymamrotała Alicja w głąb swojego kieliszka.

– Brzozowy – uzupełniłam zgodnie. – Znam go osobiście, piłam, całkiem niezły. Znow mu przerwałam i powiedziałam, że tyle sama wiem, świeże ma soki, wysuszone, po czterech latach, raczej już nie, i ciężar mu się zmienia. I właśnie pytam o ile, mniej więcej, pi razy oko. Na to rozpoczął wykład na temat gatunków, bo, rozumiesz, są drzewa iglaste, liściaste, liściaste też rozmaite, co innego lipa, co innego dąb...

– Co innego gwajak. Ty z nim jeszcze ciągle wytrzymujesz?

– No właśnie, już tak trochę nie całkiem. Co do drewna, które wypełniło mój dom po dziurki w nosie, wieczorem zorientowałam się, że wiem tyle samo co i przedtem, no więc sprawdziłam w encyklopedii, w dwóch różnych atlasach przyrody żywej i do tego jeszcze w starym katalogu materiałów budowlanych, chociaż cholernie mi się nie chciało, bo to ciężkie kobyły. Ale było mi potrzebne do pracy.

– No i ile? – zaciekała się Alicja.

– Różnie, jak które. Ale przeciętnie można uznać, że około dwadziestu procent. Może dwadzieścia pięć, a czasem tylko piętnaście. Zależy, w jakim stopniu było przedtem mokre.

– Teraz powinnaś wejść na męża. Logicznie tak mi się układa. Bo blondyn życia zaczyna być zrozumiały.

– Otóż to! Bardzo dobrze. I wreszcie skończyć z ciuścianiem!

Alicja obmacała stół w poszukiwaniu papierosów, skorzystałam z tego, wstawiłam talerz po rybie do zlewu i prawie tym samym gestem sięgnęłam po dwie nowe popielniczki. Alicja w roztargnieniu podsunęła mi używane, pełne, odstawiłam je na blat.

– Tym razem to nie jest ciumcianie – powiedziała po namyśle. – Ogólnie z twoim mężem się nie kojarzy?

Popukałam się w czoło.

– W takim razie ciumcianie usuwamy definitywnie. Gdzie ta środkowa strona, którą znalazłam? Ty ją zabrałaś z ogrodu czy ja?

Przez chwilę siedziałam w bezruchu i patrzyłam na nią, prawdopodobnie tępo, po czym podniosłam się, wyszłam na taras i od razu znalazłam na skraju trawnika kartkę, którą lekki powiewek z łatwością zwiął ze stołu. Silniejszy powiewek z równą łatwością uszczęśliwiłby nią ogród sąsiada. Chociaż nie, możliwe, że zatrzymała-by się na leszczynach przy ogrodzeniu.

– Po pierwszym deszczu miałybyś ją z głowy.

– Na razie nie zanoszą się na deszcz. Idiotyczny papier, kto pisze listy na przebitce...

– Ja – przypomniałam jej. – Ale moje są na maszynie. I na wszelki wypadek staram się zmieścić na jednej kartce. Może i gęsto wychodzi, za to wyraźnie i trudno zgubić połowę.

Alicja pochwaliła mnie bez żadnego oporu i zagłębiła się w tekst.

– Zaczyna się od „więc błagam cię, przyjmij ich!”, to znaczy ten dalszy ciąg tak brzmi, małą literą, chyba po przecinku. Osobiście dedukuję, że jest to osoba zaprzyjaźniona i nawet bliska...

– Ale chyba mało cię zna – przerwałam zgryźliwie. – A może sądzi według siebie.

Alicja zachowała kamienne opanowanie.

– ...ale, nie chcę przesądzać, jednak rozumu w niej nie widzę, bo proponuje rodzaj zamiany. Ja przyjmę tych jakichś, a ona za to do mnie nie przyjedzie, powstrzyma

się taktownie, aż ją wyraźnie zaproszę. Jak, do cholery, mogę ją zaprosić, skoro nie wiem, kim jest... Ale ona go tak strasznie kocha i tak jej na nim zależy, i takie nieszczęście ją spotkało, że niech on z niej coś ma, żeby jej przypadkiem nie porzucił, bo ona zna mężczyzn... Proszę cię bardzo, przeczytaj sama i wyciągnij wnioski, bo nic nie rozumiem.

– Nieprawda – mruknęłam, biorąc od niej kartkę.
– Wszystko rozumiesz, tylko ci się to nie podoba, więc nie chcesz rozumieć...

Alicja wzruszyła ramionami, sama zrobiła sobie kawę, a mnie po krótkim wahaniu dołała koniaku. Zapewne przypomniawszy sobie, że pracowałam kiedyś na budowie i taka rzecz, jak wysokoprocentowy alkohol, nie może stanowić dla mnie nowości.

Szczerze mówiąc, treść bez początku i końca mnie też nie bardzo się spodobała. Miłość buchała z niej w każdym zdaniu i między wierszami, zrozumiałam co prawda wszystko, ale wewnątrz mi się skrzywiło. Wyszło, że jakaś ona obłądnie kocha jakiegoś jego, świetnie, każdemu wolno, on w uczuciach oporu nie stawia, ale jej czegoś brakuje, więc powinna nadrobić i osoba pisząca z całej siły jej w tym pomaga. Elementem rzędu nagrody Nobla, kopalni diamentów, lubczyku, transplantacji mózgu i trudno dociec czego tam jeszcze, ma być Alicja. „I na to strasznie nosem kręci” brzmiały ostatnie słowa, i żal, pretensja, uraza, waliły z nich potopem i lawiną. Ktoś, znaczy, nosem kręcił na sam pomysł.

Zaczęłam myśleć na głos.

– Kto to, na litość boską, może być? Znam twoich przyjaciół, ale w ograniczonym zakresie, ktoś z kraju,

w grę wchodzi dwie osoby, druga nosem kręci, mają różne zdanie. Lubisz ich, musiałaś ich zapraszać...

– Bo co?

– Bo inaczej swojej powściągliwości nie traktowałyby jak czegoś w rodzaju wyrzeczenia. Poświęcenia. A może odwrotnie, nie chcesz ich, oni się pchają, zrezygnują, żebyś tylko przyjęła tych... rekomendowanych. Osoba jest głupia beznadziejnie, bo wiadomo, że przyjęłabyś każdego rodaka, który pętałby się u twoich drzwi. Kogo nie chcesz?

– Agaty – odparła bez sekundy namysłu Alicja. – Ale ona mieszka w Szwecji i albo jest pojedyncza, albo w cztery osoby.

– Odpada. W kraju. Dwie sztuki, jedna głupia, druga ma rozum...

Wahanie Alicji trzaskało po oczach. Miała kogoś na myśli i nie chciała tego powiedzieć. Ja też miałam kogoś na myśli.

– Mam cię zastąpić? – spytałam, zapewne cierpko.

– No...?

– Hania i Zbyszek. Żeby nie było nieporozumień – dodałam szybko. – Ja ich bardzo kocham, Zbyszek jest cudo, ale Hania w połowie jest głupia dennie.

– W której połowie? – zainteresowała się natychmiast Alicja.

– Jak by ci tu... Jako człowiek. Jako kobieta leci w czolówce. Kobieta jest odpoczynkiem wojownika. Kobiety są stworzone do ozdabiania życia mężczyznom. Kobieta jest lianą, która bez dębu nie żyje, oni kochają być dębem. Kobieta posiada instynkt jak każde zwierzę niższego rzędu. Kobieta ma być piękna i pachnąca... Mam ci cytować dalej? Hania spełnia to wszystko bezbłędnie. W dodatku świetnie gotuje.